

Jezioro Skrzynno pod Mosiną

Było to w latach pierwszej wojny szwedzkiej, kiedy wojska Karola Gustawa zalały niby potop całą Polskę. Najbardziej w tym czasie ucierpiała Wielkopolska. We wszystkich miastach i miasteczkach stały załogi szwedzkie, dla których nie istniało żadne prawo krajowe, a jedynie gwałt, okrucieństwo i samowola:

Do Mosiny pod Poznaniem przybyła załoga szwedzka składająca się z dziesięciu rajterów i dwudziestu knechtów. Dowodził nimi młody oficer. Wkrótce strach czarny padł na mieszkańców miasta. Na wszystkich obywateli nałożono wysoką kontrybucję wojenną, a mord i rabunek stały się odtąd rzeczą najzwyczajszą. Nikt nie był pewny ani mienia, ani życia. Po złupieniu bogatszych kupców i rzemieślników przyszła kolej na okoliczne dwory.

Na północny zachód od Mosiny leżała wieś Pozegowo. Właściciel dworu Piotr Pozegowski oraz jego najstarszy syn Jan — zwolennicy prawowitego króla Jana Kazimierza — służyli w oddziałach partyzanckich kasztelana poznańskiego, Krzysztofa Grzymułtowskiego. We dworze pozostała jedynie dziedziczka z dwoma nieletnimi synami oraz szesnastoletnią córką Bronisławą, stary ekonom Onufry oraz kilku parobków.

Któregoś dnia wrześniowego przed dworem pozegowskim zadudniły kopyta końskie i na dziedziniec wjechało czterech rajtarów szwedzkich z oficerem na czele. Zasiadłszy z konia oficer wszedł na ganek i ręką uderzył w drzwi.

— W imieniu najjaśniejszego króla Karola Gustawa otwierać!

Przez okna wyjrzały najpierw strwożone twarze, a następnie trzasnął rygiel i naganek wyszła dziedziczka Pozegowska.

— Czy to jest dwór pana Pozegowskiego? — zapytał hardo oficer.

— Tak jest.

— Gdzie jest dziedzic z synem?

— Nie ma ich, wyjechali.

— A gdzie to oni wyjechali, hę?

— Nie wiem, tego mi nie mówili.

— Nie mówili! — ryknął oficer. — To ja powiem: do kasztelana Grzymułtowskiego albo do samego afcybuntownika Stefana Czarnieckiego. Już na nich kat miecz [ostrzy:nie](#) ujdą kary. A teraz sprawa druga. Dwór Pozegowo, nie dostarczył dotychczas dostaw dla wojska jego królewskiej mości: 100 korcy pszenicy, 100 żyta, 100 owsa i dziesięć fur siana.

— Dostawiliśmy do Mosiny w ubiegłym tygodniu, oto kwit — odrzekła dziedziczka.

Szwed obejrzał uważnie pokwitowanie, po czym rzekł:

— Pokwitowanie ważne, ale buntownicy muszą dawać podwójnie.

— Oddaliśmy wszystko, co się należało, więcej już nic we dworze nie ma.

— Nie ma, powiadasz waćpani? Zaraz się znajdzie. Zaraz dobrodziejka będzie inaczej śpiewać! Nauczę was, buntowniki!

Następnie wychyliwszy się za ganek krzyknął:

— Hej, rajтары! Związać mi tę imość i spytać grzecznie, gdzie jest pszenica i owies! A potem na wóz i do Poznania!

Wtem rozwarły się z trzaskiem drzwi od bocznej komnaty, wybiegła z nich młoda dziewczyna i zasłoniła sobą matronę.

— Nigdy na to nie pozwolę! — ozwał się dziewczęcy, ale stanowczy głos. — Cóż to wać, oficer czy rozbójnik?

Szwed zmieszał się w pierwszej chwili, lecz następnie zerwawszy z głowy szeroki kapelusz skłonił się z donżuanerią dziewczynie.

— Mościa panna wybaczy, nie wiedziałem, że dziedziczka pożegowska ma tak pięknego obrońcę! To zmienia całą sprawę! A można wiedzieć, jak gości pannie na imię? — dodał zaglądając jej zuchwale w oczy.

— Ja waści o nazwisko nie pytałam — odparła dumnie.

— A istotnie — zmieszał się ponownie — powinienem się pierwszy przedstawić.

Friedrich Otto de Walch, oficer pierwszej brygady westgotlandzkiej pod Karolem Schedingem z armii jego królewskiej mości niezwykłego Karola Gustawa — wyrecytował jednym tchem.

— Bronisława Pożegowska — dygnęła grzecznie, odwzajemniając się.

— A, więc to matka waćpanny?

— Tak, matka — odparła krótko.

— Wobec, tego biorę cały dwór pod swoją, specjalną opiekę—uśmiechnął się zagadkowo — do zobaczenia wkrótce, piękna mościa panno! Odtąd włos wam z głowy nie spadnie!

Zadudniły po dziedzińcu końskie kopyta i wkrótce we dworze zaległa cisza.

— Jesteś dzielna, córko, i dziękuję ci za obronę. Boję się jednak, czy jeszcze bardziej nie pogorszyłaś sprawy. Ten oficer nie da nam teraz spokoju.

Istotnie, nie upłynęły trzy dni, a kawaler de Walch zjawił się w Pożegowie ponownie, lecz tym razem bez asysty rajtarów i w paradnym mundurze. Uwiązał konia na dziedzińcu pod lipą i trzymając czarny rajtarski kapelusz zdobny pękiem pawich piór, wszedł z brzękiem ostróg na ganek.

— Przychodzę jako gość i przyjaciel — rzekł kłaniając się głęboko dziedzicze. — A gdzież to nadobna córka mości pani?

— Poproś panienkę — skinęła Pożegowska na służącą i wprowadziła Szweda do gościnnej komnaty.

Bronia weszła w swej codziennej, skromnej sukni. Dwa blond warkocze spadały jej na plecy. Dygnęła z godnością przed przybyłym. Kawaler de Walch skłonił się pannie szarmancko, zamiatając pióropuszem kapelusza posadzkę komnaty.

— Sługa uniżony waćpanny.

Przez chwilę panowało krótkie milczenie. Przerwał je przybyły.

— Wy Polacy uważacie nas za barbarzyńców i tyranów, a my tylko wykonujemy surową służbę wojenną, od której uzależnione jest zwycięstwo, i musimy zwalczać buntowników.

— To nie buntownicy, a obrońcy swej ziemi — odparła gorąco Bronia. — Nie my najechaliśmy na Szwecję, lecz wy na nasz kraj mości kawalerze.

— Jakże to, to przecież wasi panowie uznali zwierzchność najjaśniejszego króla szwedzkiego Karola Gustawa i poddali dobrowolnie kraj cały pod jego władzę!

— To zdrajcy, nie Polacy, prawdziwi Polacy stoją wiernie przy królu swoim, Janie Kazimierzu i jego hetmanach.

— Broniu— mitygowała Pożegowska zapalczywą córkę.

Kawaler de Walch spochmurniał i wsparł się obu dłońmi na gardzie czarnego rapiera.

— To są buntownicze słowa, mościa panno, i za taką odpowiedź grozi kara aresztu

w ratuszu poznańskim i konfiskata dóbr. Ale przyjechałem tu dziś jako gość,

więc puszczam te słowa mimo uszu. Niechaj to będzie dowodem mojej przyjaźni.

— Nie wiem, czy będziemy w stanie odpłacić się za tę wspaniałomyślność, mości oficyjerze— odrzekła chłodno

Bronią.

— A jednak radziłbym waćpannie tak uczynić — odrzekł ze złym uśmiechem de Walch. — Pod moją opieką jesteście bezpieczne z całym dworem, gdybym jednak jej poniechał, może się zdarzyć wszystko, dosłownie wszystko — dorzucił z naciskiem.

— Jesteśmy pod opieką Opatrzności i tej ufamy najwięcej mości kawalerze de Walch — odpowiedziała, wstając Pożegowska.

— Mamy nadzieję, że nie są to ostatnie słowa mości pani, więc i afektów swo-jej przyjaźni jeszcze nie cofam — odrzekł pojednawczo "Szwed obrzucając wymow-nym spojrzeniem smukłą postać Broni, po czym skłoniwszy się wyszedł.

Od tego czasu życie w dworku pożegowskim stawało się coraz trudniejsze. Wprawdzie nowe kontrybucje i rekwizycje nie nadchodziły, ale w pobliżu dworu, coraz częściej kręcili się rajtarowie i knechci. Nadchodziły też alarmujące wiado-mości, że sąsiednie dwory, jak Puszczykowo, Ludwikowo, Krosinka i wiele innych zostały doszczętnie splądrowane, a zbiory, konie i bydło siłą zabrane. Nazwisko kawalera de Walch powtarzane było z coraz większą grozą.

Coraz częstsze stawały się też wizyty Szweda we dworze pożegowskim, umizgi jego wobec panny Bronisławy były coraz bardziej natarczywe. Doszło do tego, iż musiała się kryć przed nim na strychu w dworskim lamusie. Tak w ciągłej obawie i niepewności minął mieszkańcom Pożegowa październik i listopad 1656 roku. Spadły pierwsze śniegi.

Pewnej nocy grudniowej nadszedł od Piotra Pożegowskiego tajny goniec z wie-ścią, iż drobne oddziały partyzanckie kasztelana Grzymułtowskiego zbierają się w lasach koło Stęszewa i Trzebawa. Następnego dnia zjawił się w Pożegowie kawaler de Walch z zaproszeniem na bal w Mosinie na intencję zwycięstwa króla Karola Gustawa.

— Kto się nie stawia w Mosinie — dodał z naciskiem — będzie poczytany za jawnego wroga królewskiego i zwolennika buntowników.

Pani Pożegowska tłumaczyła się chorobą dwóch najmłodszych swych synów, ale oficer rajtarów był tym razem nieugięty.

— Jeśli moście panie nie mogą być obie, niech będzie przynajmniej waćpanna Bronisława. Jutro o zmierzchu przyślę powóz z Mosiny.

Z tymi słowami odjechał. We dworze pożegowskim nastąpił lament i konsternacja. Wreszcie uradzono, iż Bronią, jako najbardziej zagrożona, musi jak najszybciej wyjechać do Górek, gdzie mieszkał daleki krewny Pożegowskich, a stamtąd w miarę możliwości do Trzebawa lub Stęszewa."

Pożegowska poleciła wiernemu Onufremu przygotować potajemnie sanie i parę najlepszych koni. Same przez całą noc pakowały w wielką skrzynię najcenniejsze przedmioty rodowe, jak klejnoty rodzinne, srebra, stołowe, kosztowną broń i pieniądze, które Bronią miała z sobą zabrać.

Nazajutrz o świcie czekały już przed gankiem sanie, a na nich stary Onufry w kozuchu. Było ciemno i sypał gęsty śnieg.

— Dobra wróżba, mościa pani — zagadnął ekonom — za godzinę po naszym wyjeździe i śladu ucieczki nie będzie, śnieg wszystko pokryje.

Zniesiono okutą skrzynię na sanie i Bronią pożegnała się z matką, braćmi i służbą. Za chwilę Pożegowo zniknęło z oczu jadących. Otoczyła ich wokół biel śnieżna, przechodząca miejscami w zadymkę. Droga biegła lekko w dół ku wsi Ludwikowo, potem koło niewielkiego jeziora Kociołek, a następnie poczęła piąć się ku górze.

— Niedługo będzie już połowa drogi do Górek. Byle nas tu gdzie ino wilki nie obkoczyły, bo juchy lubią tu grasować.

Właśnie wjechali na szczyt wyniosłego wzgórza, wznoszącego się nad Jeziorem Góreckim, gdy nagle zza olszyn, na drodze od wsi Jezioro, zamajaczyła, w śnieżnej dali jakaś szara masa.

— Wilki — wyszeptła strwożona Bronią.

— Gorzej, panienko, to Szwedzi. Jeśli nas spostrzegli, jesteśmy zgubieni.

— Zjeżdżaj w dół co pary w koniach — szepnęła Bronią.

Konie poniosły jak wicher. Oszronione brzozy przydrożne migały jak duchy, drobne gałązki zacinały co chwila po twarzach jadących. Bronią obejrzała się za siebie — i struchlała: na szczycie wzgórza, które niedawno minęli, jechał właśnie oddział rajtarów szwedzkich.

— Gonią nas, Onufry, ratuj, na miłość boską!

Woźnica ciął konie batem raz po raz, że aż piana poczęła im przyskać z pysków, a sanie tylko świstały po śniegu. Do Górek było niespełna pół mili.

— Znasz krótszą drogę do Górek?

— A już ci znam, ale biegnie przez środek jeziora Skrzynno.

— Więc skręcaj wprost na jezioro, łód już dawno skuł rzeki, na saniach szybko przemkniemy.

Skręcili na lewo w boczną drogę i na chwilę stracili z oczu pogoń. Lecz oto zza kępy brzoź wypadł galopem jeździec na czarnym jak kruk rumaku. Dzieliła ich odległość nie większa nad trzy staje. Bronią obejrzała się ponownie i struchlała z przerażenia.

— Kawaler de Walch! — wyszeptła zbielełymi wargami.

Ten zwinął dłonie przy ustach i krzyknął:

— Teraz mi już nie ujdiesz, chytra Laszko!

Przed saniami zarysował się ogromny prostokąt jeziora Skrzynno pokryty bielą śnieżną:

— Na jezioro! — krzyknęła Bronią.

Zadudniły kopyta na skorupie lodowej i sanie pomknęły lotem błyskawicy. Szwed dopadł do brzegu i na moment zawahał się. Czarna peleryna łopotała mu na wietrze niby ogromne skrzydła nietoperza, a spod ronda rajtarskiego kapelusza błyskały złowrogo oczy. Lecz oto jeździec spiął konia ostrogami i skoczył na łód. Rumak potknął się raz i drugi, lecz wkrótce odzyskał równowagę i długim kłusem pomknął przez jezioro. Sanie były już gdzieś w połowie jeziora, gdy konie pokryte pianą zaczęły nagle gwałtownie robić bokami ze zmęczenia i zwalniać biegu. Nie pomagał już świszczący bat Onufrego. Odległość między uciekającymi a Szwedem malała gwałtownie.

Kawaler de Walch wyciągnął już dłonie, by pochwycić krawędź sań. Bronią poczuła na twarzy wilgotny opar i ujrzała nad sobą wzdęte chrapy czarnego rumaka, a wyżej wykrzywioną, straszną twarz Szweda.

— Mam cię wreszcie, przekłeta Laszko! — zasyczał złowrogi głos.

— Boże Wszechmogący, ratuj! — krzyknęła przerażona i wyrwawszy krucicę zza pasa dała ognia w buchający nad nią kłęb pary końskiej i parę straszliwych żreń.

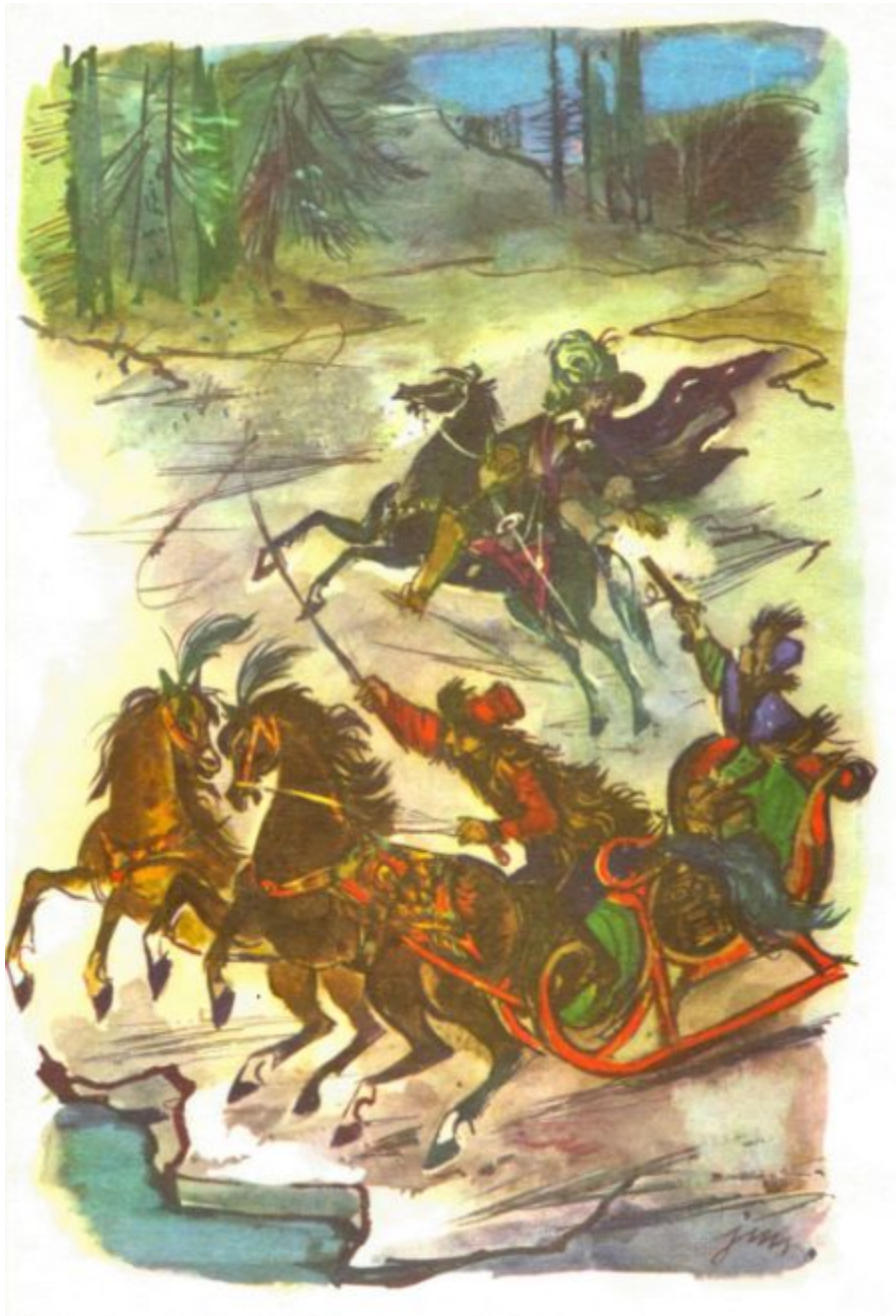
Czarny rumak wspiął się gwałtownie na zadzie, przez chwilę stał dęba, po czym runął z jeźdźcem na wznak. Wtedy nagle rozległ się głuchy trzask i biała płaszczyzna jeziora zakolebała się gwałtownie. Przez chwilę woda bulgotała w czarnej czeluści, a potem wszystko wygładziło się i cisza zaległa wokół.

Gdy czerwone, grudniowe słońce wyjrzało zza wzgórza, prostokąt jeziora leżał znów nieskazitelnie biały w puszystym śniegu i wyglądał niby wielka trumna pokryta kwiatami jaśminu. Minęły trzy wieki od czasów najazdu szwedzkiego i wiele jeszcze burz wojennych przewaliło się przez Ziemię Wielkopolską. Lecz pamięć ludu, pominąwszy niejedno — ważne wydarzenie, zachowała ten właśnie drobny w dziejach narodu epizod.

W noc grudniową, szczególnie gdy księżyc samotny wędruje pośród ciemnych chmur śniegowych, mieszkańcy okolicznych wiosek widują na jeziorze Skrzynno białą postać niewieścią ściganą przez jeźdźcę na czarnym rumaku. Jeździec wyciąga ręce przed siebie, lecz nigdy zjawy uchwycić nie może.

A na dnie jeziora zwanym dziś również Skrzynką, leży w okutym kufrze dębowym skarb rodziny Pożegowskich: srebrne sztuce stołowe, pozłociste ryngrafy, cenne karabele wysadzone turkusami, złote pierścienie i bransolety, perłowe kolie i zausznicze.

Ostatni ze starostów Mosiny w czasach przedrozbiorowych pokusił się nawet, by skarb ten wydobyć. Sprowadził nurków, którzy badali dno jeziora, a gdy to nie dało żadnych rezultatów, kazał wieśniakom kopać głęboki rów odpływowy, by spuścić wodę z jeziora na sąsiednie łąki. Lecz wszystkie te wysiłki były daremne. Cenny skarb leży nadal na dnie jeziora Skrzynno, a z nim razem może coś stokroć cenniejszego niż złoto, perły i diamenty.



źródło:

"O Maćku Borkowicu i Diablu Borucie oraz inne podania i legendy wielkopolskie"

Wydawnictwo Poznańskie 1984

Ilustracja: Jan Marcin Szancer